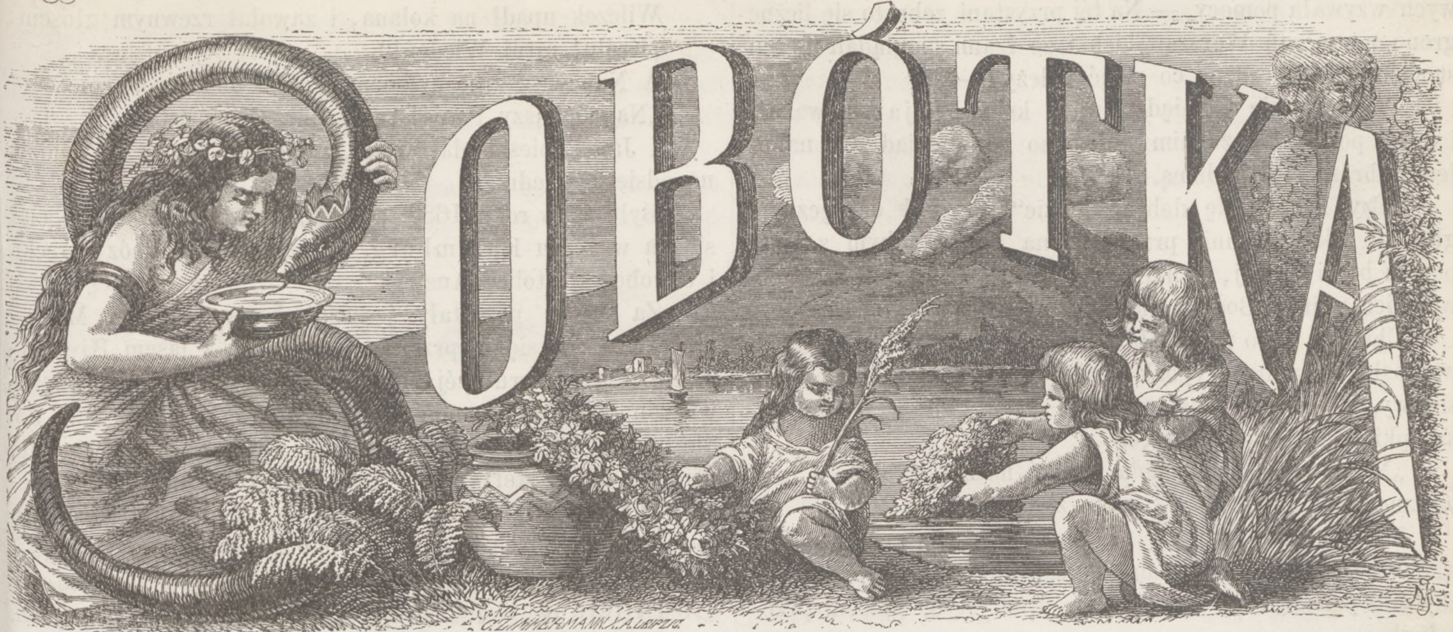
Nr. 8. Poznań, dnia 18. Lutego 1871. Rok III.




TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

# WARSZAWA DZIŚ I WCZORAJ

przez

Starego Mieszczanina.

(Patrz Nr. 3.)

## II.

### Kilka kartek z kroniki pisanéj i tradycyi.

Wisła, nosiła pierwotną nazwę Wody Białéj, i dobrze odpowiadała jéj barwie. — Rzeczywiście białą jest jéj woda, i nigdzie się lepiéj nieuwydatnia, jak pod twierdzą Modlinem, gdzie Narew do niéj się zlewa. — Wody Narwi jak niebieska wstęga, płyną jeszcze pod wałami warowni, a obok niéj wełni się białą barwą Wisła.

Tradycya starych mieszczan, flisów i chłopków Mazowsza z pobliża, taki daje powód nazwy Warszawy.

W dawnych czasach, kiedy jeszcze śladu tego miasta niebywało, nad brzegami Wisły, jak teraz ciągnie się tak zwany Szulec, była mała osada na dogodnéj przystani rzeki, w któréj z rodziną swoją zamieszkiwała wdowa Ewa.

Słynęła ona jako gospodyni znamienita, smakowicie przyprawiając potrawy ulubione przez flisów i orylów. —

Tu oni spławiając, czy to tratwy z drzewem, czy galary i szkuty ze zbożem do Gdańska, mieli wygodny spoczynek, a pomni na doskonałą jéj kuchnię, już ich Retmani płynąc małemi łódkami przed ładownymi statkami, zdala wywijając wiosłami, nawoływali:

Warz Ewa! Warz Ewa!

I ten ich okrzyk radosny, dał nazwę pomienionéj osadzie Warszewa, którą przywiązano następnie do miasta, co się późniéj zaczęło budować na wysokim wzgórzu, po nad tą osadą Ewy. — Wedle podania starych rybaków, co zapamiętali dawne czasy, osada owéj gospodarczéj Ewy, stać miała po nad Wisłą, na małym wzgórku, wprost Bednarskiéj Ulicy, a w pobliżu pływającego niegdyś mostu.

Miejscowość ta, przed siedemdziesiąt siedmiu laty, była świadkiem ważnego zdarzenia.

Było to 5. Listopada 1794. r. przedmieście Praga, po szturmie i zdobyciu przez Suworowa, w połowie stała w płomieniach, w połowie dymiła zgorzeliskiem i rozrzarzonemi głowniami po spalonych kościołach i domach. —

Na ulicach nieszczęśliwego miasta, strumienie krwi, jakby po deszczu ulewnym, spływały po rzezi kilkudziesiąt tysięcy mieszkańców.

Gromadka ocalonych starców, niewiast i dzieci, które litość nieprzyjacielska od niechybnéj śmierci ocaliła, poraniona, leżała na cmentarzyku obmurowanym kościoła Bernardynów, zgłodniała i odarta, drżąc febrycznie od przejmującego zimna i zamieci śnieżnéj. —

Most był w połowie zerwany, dla zasłonienia stolicy od napadu nieprzyjacielskiego, a gromadka owa nieszczęśli-

wych wzywała pomocy. — Na téj przystani zebrało się liczne grono mieszczan Warszawskich i ze łzami spoglądali na ten straszny obraz radząc co robić należy? —

W tem staje pomiędzy nimi ksiądz Pijar poważnéj i miléj postaci, a za nim wniesiono kosze z jadłem, napojem, ubraniem i bielizną. —

„Czy znajdą się dobrzy ludzie“ zawołał dźwięcznym głosem, „którzy mnie przewiozą na Pragę, abym zaniósł pomoc braci naszéj, rannéj, zgłodzonéj i obdartéj? Wzywam ich w imię Boga i nieszczęśliwéj ojczyzny naszéj!“

Chwilkę tylko panowało milczenie, i z tłumu wysuwa się wyniosłego wzrostu rybak warszawski Sitkiewicz, już siwawy, a obok z wiosłem staje przy nim w pogotowiu, krzepki i czerstwy syn jego.

„Niech Dobrodziéj siada w łódź naszą, to duża i bezpieczna, a zabierzemy wszystko z sobą.“

Ksiądz Pijar spojrzał na obu rybaków, i rozrzewniony wzniósł ręce w górę jak do błogosławieństwa. Rybacy pochylili z pokorą głowy, a kapłan uroczystym głosem przemówił. —

„Niech Bóg ojców naszych, zeszle na was i waszą rodzinę błogosławieństwo swoje! Spieszmy kochani bracia, bo czas nagli.“

Wniesiono kosze, ksiądz Pijar stanął na środku łodzi, przeżegnał się i swoich przewoźników, i odbito od lądu. Pomimo kry gęstéj, szybko rzekę przepłynęła i stanęła u przeciwnego brzegu. —

A grono patrzące u przystani, ścigało oczyma z bijącem sercem, co się stanie daléj. — Jakoż, przy wysiadaniu na brzeg Pragi oskoczyło i księdza i rybaków kozactwo, lecz po chwili się rozstąpiło — i pomogło kosze zanieść na cmentarzyk Bernardyński.

Nikt się nie ruszył z przystani — i pomimo zimna i śniegu zawiejkowego, stało całe grono mieszkańców Warszawy, a patrzyło — i ujrzało z radością, jak kapłan wracał do łodzi, Rybacy nieśli próżne kosze — jak spokojnie wsiedli, i odbili od wybrzeża Pragi.

Okrzyk radości powitał wracających.

„Co to za jeden ksiądz tak odważny a litościwy?“ zapytał ktoś z tłumu.

„To ksiądz profesor Onufry Kopczyński co gramatykę polską napisał,“ odrzekł wyrostek stojący nad samym brzegiem. —

* * *

W XVI wieku, otaczały całą Warszawę ogromne lasy, pełne grubego zwierza. Tu swobodnie bujały żubry, jelenie, łosie, sarny i dziki. — Król Jan III jeszcze w nich polował ochoczo, — a dotąd mały pałacyk stojący w Marymoncie, przypomina oswobodziciela Wiednia. Ten pałacyk bowiem był myśliwskim dworem króla Sobieskiego, gdzie po łowach spoczywał, i bawił: w nim odbyła się dziejowa scena. — Król Jan, zmęczony a radosny po szczęśliwych łowach, gdy żona jego owa ukochana Marysieńka, któréj w każdym liście, całował wszystkie śliczności ciała, dała znak dwom cudzoziemcom ażeby weszli do niego. Był to Nuncyusz Apostolski i Hrabia Wilczek poseł Cesarza austryackiego.

Wilczek upadł na kolana, i zawołał rzewnym głosem: „Królu! ratuj Wiedeń!“

A Nuncyusz z pochylonem czołem dodał pokornie. „Najjaśniejszy Panie! ratuj Chrześcijaństwo!“

I Jan Sobieski dał wtedy uroczyste słowo że pójdzie na odsiecz Wiednia.

Było to w roku 1683. pospieszył z rycerstwem, ukazał się na wzgórzu Kalemberg, uderzył, rozbił obóz turecki, i oswobodził stolicę Austryi.

Za Sasów pozostały jeszcze obszerne knieje Marymonckie, co się nieprzerwanie łączyły z lasem Bielańskim, ale już grubszéj w niéj zwierzyny brakowało, i sprowadzono ją z puszcz odleglejszych. — Czytamy że dnia 23. Sierpnia 1723. r. wyprawiono tu świetne polowanie dla Augusta II. Cztery żubry z puszczy Białowiezkiéj, 44 jeleni, 200 sarn i 80 dzików, puszczano pod strzały orszaku łowców, i pięknych amazonek, należących do téj rozrywki.

Dziś pola tylko piaskowe pozostały, a w Marymoncie i Bielanach, po zapadłych kniejach, przejrzyste gaiki.

Stara miejscowa tradycya mówiła, że przy Ulicy Długiéj, na prost dawnego Pijarskiego Kościoła, a teraz Cerkwi prawosławnéj, gdzie dom zwany dotąd Suchy las, był bór, dębami, jedliną i sosniną porosły, i od suchości swéj mający nazwę. — Gdy go wycięto i zabudowano, pierwotne miano zawsze pozostało, i do dzisiaj się przechowało.

W pobliżu pałacyku w Marymoncie, w padole nad strugą, stoi młyn, słynny wyborną mąką, że aż przeszła w przysłowie, i wspomnieniem historycznem; tu bowiem w noc Listopadową, król Stanisław August porwany przez Konfederatów Barskich na Miodowéj ulicy, przez ich dowódzcę Kuźmę, przyprowadzonym został, tu jego wymową skruszony padł na kolana, i zaprzysiągł go bronić. Jakoż sam straż trzymał, dopóki generał Kokcej z oddziałem gwardyi nie nadbiegł, i króla odprowadził na zamek Warszawski.

W téjże prawie linii na równinie tylko więcéj zbliżone do miasta leżą Powązki, pola elekcyjne Woli, a w odległości milowéj od stolicy Polski, Willanów ów pałac króla Sobieskiego, na którego budowę kamienie, cegły i drzewo dźwigały ręce niewolników tureckich, wziętych w jasyr po sławnem zwycięztwie pod Wiedniem.

Tak okolice Warszawy zostawiły w pamięci potomnych historyczne wspomnienia: w pałacyku Marymontu dał słowo Jan III, że pospieszy na odsiecz Wiednia, i niedługo wyznawcy proroka, pomoc nieśli do wzniesienia wspaniałego dla tego monarchy siedliska. —

Wnim stoją dotąd owe lipy, które bohater ten zasadzał swą ręką: dają one dziś cień gęsty, przed upałem słonecznym.

Prawie w téj saméj odległości stoją Bielany, klasztor z kościołem Kamedułów, miejsce niegdyś, gdzie cała wylegała Warszawa w czasie Zielonych Świątek, przez dwa dni na zabawę. — Gaik sosnowy okalający to ustronie milczących mnichów, roił się tysiącami mieszkańców stolicy: gwar radosny, ochocza muzyka i pląsy zarówno Warszawiaków jak i włościan z pobliższych wiosek, ożywiał Bie-

lany niezwykle, ale od roku 1831. Bielany straciły dawny swój powab i znaczenie, stary zwyczaj uległ pod silną dłonią niedoli. Jeszcze i teraz małe grona mieszczan naszych odwiedzają w Zielone Świątki Bielany, ale ich świetność zgasła bezpowrotnie.

Wybiegliśmy po za mury Warszawy i na każdym kroku, jak pajęczyna Babiego lata, czepiają się nas wspomnienia przeszłości: wracajmy do miasta. — Czyż tam nieznajdziemy już tych wspomnień. Zaprawdę nowe części naszego miasta — na których wzniosły się dumnie okazałe domy i pałace — prawie nic ich niemają, — ale kronika historyczna wygląda z więcéj skromnego w rynku Starego Miasta, przyległych ulic, i najbliższych przedmieść mazowieckiego grodu. (C. d. n.)

# PAŁAC I FOLWARK.

## Obrazy naszych czasów

przez

**J. I. Kraszewskiego.**

(Ciąg dalszy.)

Przyjazd syna rozradował hrabinę, była to miła attencya zawsze, jak mawiano dawniéj — kazała go prosić natychmiast, choć nie była ubrana, do swego pokoju i uściskała serdecznie... Odezwało się na chwilę macierzyńskie uczucie choć stłumione oddawna.

„Nie prawdaż!“ rzekła po przywitaniu, „ty mi tu jakiś czas zostaniesz!“

„Dopóki służba moja szambelańska nie przypadnie“ odparł syn, „bo téj chybić nie mogę.“

„A! to się rozumie... ale powiedzże mi“ pytała hrabina, nie masz przecie jakich projektów? co robisz? co myślisz? nie znalazłeś sobie stósownéj partyi?“

Hrabia który nie znalazł nic oprócz artystki w teatrze Fryderyka Wilhelma, do któréj się nie myślał przyznawać, spuścił oczy i zamilkł.

„A! to trudno“ odparł, widzi kochana mama, do tego by potrzeba być na innéj stopie, inny tren prowadzić! a to, przy moich dochodach skromnych nie podobne — Entre nous, kochana mamo, papa zbyt wiele potrzebuje, ma do tego zupełne prawo... ale dla mnie nie pozostaje wiele...“ Ta wymówka która zdala téż dotykała i matkę, spowodowała przydługie milczenie.

I ja bym też mogła się trochę użalić na hrabiego“ dodrzuciła po chwili, „ale — laissons cela, to niepomoże...“

Zaczęto mówić o czém innem, hrabina wpadła na ulubiony swój temat Paryż, opis dworu, zabaw, odwiedzin w Compiegne, balów i t. p. Młody Szambelan słuchał z zajęciem i wywzajemnił się niektóremi szczegółami ciekawemi o dworze, o rozrywkach jego, podróżach i t. p.

Rozstali się po rozmowie długiéj bardzo z siebie zadowolnieni, a gdy Margocki wszedł po tém do pokojów Szambelana — tu mu rzekł wesoło.

„No — myśl Margosiu, żebym się nie nudził, bo dla mamy posiedzieć muszę... Wiesz, że mama zawsze ślicznie wygląda? prawda?“

Roześmiał się. — Jest kto w sąsiedztwie? I począł wypytywać o młodzież... Margocki wyliczał mu prześmiewając, opowiadając, dworując doskonale. Nad wieczorem stary intrygant, który wiedział jak prowadzić interesa, poszedł do folwarku, wymanewrowawszy tak, by był pewien że zastanie samą pannę Klarę. Udało mu się przedziwnie, gdyż Ostójski z córką poszedł na probostwo, a panna Klara pozostała dla zajęć gospodarskich...

Była nawet w stroju tak zaniedbanym, iż zrazu nie życzyła sobie przyjąć Margockiego, ale ten polecił służącéj powiedzieć, że ma interes pilny. — Panna Klara z muszoną była wyjść.

Postrzegłszy ją stary kawaler, posunął się z wymuszoną grzecznością na spotkanie.

„Przepraszam jeślim jakie zajęcie pani przerwał, ale chciałem i potrzebowałem parę słów na osobności pomówić.“

Panna Klara zarumieniła się, chociaż daleką była od przypuszczenia by — para słów na osobności, ją osobiście obchodzić mogła...

„Co pan dobrodziéj każe? ale proszęż zająć miejsce...“

„Pani dobrodziejko“ zawołał Margocki, „spodziewam się iż wielu słów potrzebować nie będę, żeby ją przekonać jak dobrze życzę całemu ich domowi... Uwierzy mi pani.“

„Panie dobrodzieju! mój brat i ja doświadczyliśmy jego łaski tylokrotnie...“

„Otóż i teraz z prawdziwéj dla państwa życzliwości, przychodzę zaprosić pannę Zofiję, aby odwiedziła i zbliżyła się do hrabinéj. Uzna pani że i gustu do muzyki nabrać może, bo hrabina była uczennicą Liszt'a, i na tak dobrém towarzystwie zyska. Dla młodéj osoby jest to nieoceniona zręczność.“

Margocki wiedział do kogo to mówił, znał bowiem słabość panny Klary do większego świata. Z wielką uwagą przysłuchiwała mu się...

„Rzeczywiście“, odezwała się namyśliwszy, „niezaprzeczenie... tak jest, uznaję iż dla naszéj Zosiuni byłoby wielce pożądaném otarcie się o świat tak dystyngowany... lecz, widzi pan... mój brat, domator, gospodarz... ma swe przesądy...“

„A komuż właściwiéj jak pani, którą żyła w większym świecie“ (pochlebiło to pannie Klarze) „starać się go przekonać i nawrócić.“

„Zosiunia także...“

„Pani nie odmówisz w tém swojego wpływu. Przy-

znam się“ dodał, „idzie mi i o zabawienie hrabiny, ale tu interesa się schodzą... wspólne dobro obu stron...“

Panna Klara potakiwała głową.

„Niech Pan będzie pewny“ odezwała się, „iż całéj wymowy serca i przywiązania użyję... będę się starała...

„Więc poruczam to Pani!“ rzekł Margocki, „a wiem że sprawa w dobrych jest rękach... Pani masz rzadki dar przekonywania!...“

Panna Klara zarumieniła się z radości, wstała, pożegnała się, a wracając do kuchni nie mogła się wstrzymać od wyznania przed sobą, iż Margocki był człowiekiem rozumnym i bardzo miłym — bardzo miłym. W istocie filut tylko wielki.

Hrabina przez ks. Wikarego kazała także prosić pana Juliana, o którym zasłyszała, iż był muzykalnym, aby się jéj zaprezentował.

Stósunki ks. Wikarego z siostrzeńcem Kanonika, były dosyć dziwne. Zdawałoby się, iż niechęć dla wuja, powinna była spłynąć na siostrzeńca... działo się inaczéj — ks. Leon był z Juljanem łagodny, grzeczny i skutkiem jakiejś rachuby, usiłował go ku sobie pociągnąć. Nie źle mu się nawet w tém powiodło, gdyż młody medyk, okazywał skłonność większą ku myślom i poglądom ks. Leona, niż ku prostym a trochę oklepanym prawdom ewangelicznym głoszonym przez wuja... Ten wuj tak zacny, w oczach medyka wydawał się — jakby zacofanym i na mylnéj drodze. Julek z całą swą zacnością życie pojmował inaczéj i godził się jakoś z wikaryuszem choć — był po troszę materyalistą. Nie miał też wstrętu do Wikarego, a choć mu nie okazywał jawnie nadzwyczajnéj sympatyi — nie stronił od niego. Zosia jak ognia obawiała się pałacu i jego towarzystwa, Julian był go raczéj ciekawym... i wcale unikać nie myślał.

Tu miejsce może wspomnieć o ks. Leonie i jego przeszłości. Demokratyczno-ewangelicznéj idei zwolennik ks. Kanonik był szlachcicem najczystszéj wody — arystokratyczno-zachowawczych zasad ks. Leon... choć o tém nikt nie wiedział, gdyż taił się usilnie, miał do dziś dnia żyjącą matkę, która trzymała szynk na wielkim gościńcu Poświęciła ona wszystko i zniosła nadzwyczajne prywacye, aby syna usposobić do stanu duchownego, marła dlań głodem, skrzywdziła córkę pono i doczekała się wprawdzie, iż syn dobił się stanowiska bardzo na przyszłość wiele rokującego — ale za to... matki prawie znać nie chciał i ona go latami całemi nie widywała. Serce macierzyńskie dało sobie wytłómaczyć, iż matka propinatorka losowi jego wielce szkodliwą by być mogła. Ks. Leon obcując ze szlachtą i poczuwszy za granicą, iż szlachectwo coś znaczy, a ma swą cenę, kazał sobie już wyrzezać herb... który rodzinie istotnie szlacheckiéj podobnego nazwiska należał. Sam zaś przed sobą tłómaczył się, iż rodzina zubożała, a w nizkim bycie i o swém pochodzeniu zapomnieć mogła. Gdy Kanonik prawdziwy karmazyn, ledwie o swoich przodkach co wiedział, a herbu nie używał przez poczciwą skromność, ks. Leon plebejusz szczery wyszlachcił się gwoli krescytywie.

Matka ks. Leona, szczęściem dla niego, trzymała gospodę na żwirówce o jakie mil dziesięć od miasteczka, a bez pozwolenia syna nie śmiała doń ani pisać — ani przyjeżdżać. Wzdychała biedaczka za swym jedynym, posyłała mu co oszczędzić mogła i czekała by się nad nią zmiłował. Zwykle ks. Leon raz w rok jeździł do niéj, gdy na nadzwyczajne wydatki potrzebował zasiłku. Wyrachowywał się tak ażeby przybyć nocą, stawał w austeryi jako prosty podróżny i zabawiwszy przez wieczór, uciekał do dnia. Siostrę, która była wydaną za leśniczego, prostéj kobieciny, obarczonéj pięciorgiem dziatek, od lat wielu nie widywał wcale. Z rozkazu jego matka nie powiedziała gdzie przebywał i zawsze przed nią utyskiwała, że się Leonowi źle dzieje, aby siostra do niego nie zawitała, czego się niezmiernie obawiał. Miał bowiem tę słabość, że chciał za syna niegdyś majętnéj szlachty uchodzić. — Za takiego miał go i Kanonik i wszyscy tutaj, a w pałacu nawet było przekonanie, że familia z któréj ród prowadził, była très comme il faut.

Wiadomo że stary Mniszek, ostatni dziedzic Wiśniowca, tylko rodowitą, odwieczną szlachtę, tém comme il faut darzył i gdy mu pewien nie zbyt staréj daty panicz, ożeniony z kuzynką jego, przyniósł swój rodowód mozolnie dociągnięty do XV w. odpowiedział — Continuez, et vous finirez par devenir des gens très comme il faut.

Ks. Leon mówił pięknie po francuzku, po włosku, znal Paryż, Rzym, Włochy... a to samo już go poniekąd uszlachcało.

Za dawnych czasów szlachcicowi za herb stała kresa na czole, teraz dosyć francuzczyzny i politury.

(C. d. n.)

# Z PODRÓŻY

przez

**J. Gordona.**

## IV.

Wykujcie mu postać kamienną na grobie!
W niéj niech odżyje umarły,
W rysach podobny żywéj osobie,
Którychby wieki nie starły!

Pomnik Jana Jakóba Rousseau wzniesiony jest w prześlicznem położeniu, wśród miasta, na wyspie jeziora Lemańskiego, porosłéj gajem, do któréj prowadzi most, jako do miejsca spacerów.

Oswojone łabędzie białe i czarne, nurki i inne wodne ptastwo uszykowane w gromady pływają sobie swobodnie na około wyspy. Każda gromada obejmuje gatunek nie mięszający się z drugim — każdy pilnuje swojego obozu. Nikt ich nie płoszy, zostają one pod opieką każdego z osobna i wszystkich razem obywateli genewskich. Dla tego tak są śmiałe, że zaledwie ustępują z drogi czółnom przepływają-

cym i witają spokojnie ludzi swoim klekotem, przeprowadzając ich oczyma.

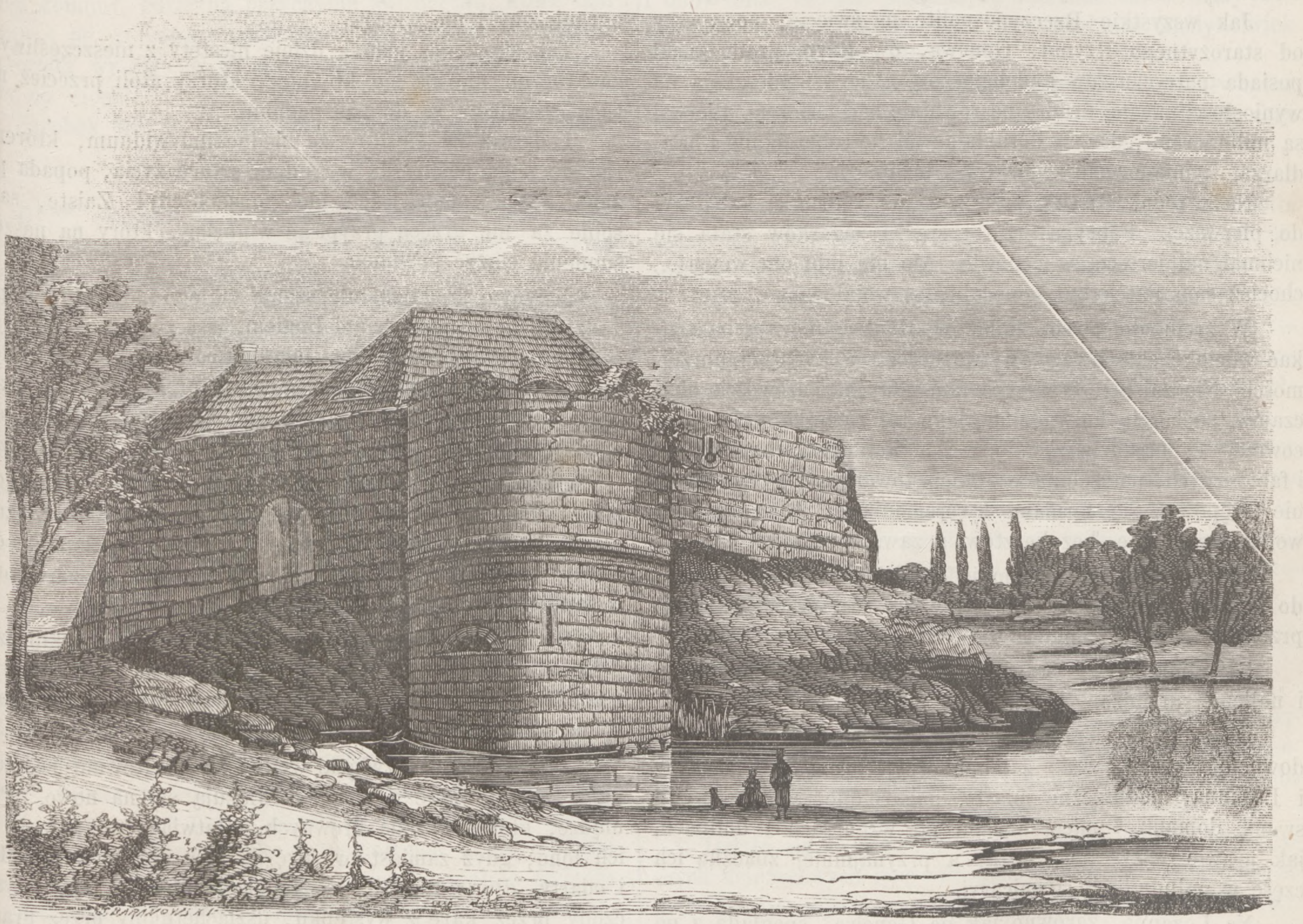
Z wyspy widok na Genewę okalającą brzegi jeziora w kształcie amfiteatru jest rzeczywiście zachwycający, szczególniéj w czasie pogody, gdy mnóstwo bacików rybackich o trójkątnych żaglach uwija się w różnych kierunkach po wód błękicie, zostawiając za sobą srebrzyste bruzdy.

Statua syna genewskiego zegarmistrza, który potęgą własnego geniuszu stworzył sobie tak znakomite imię i zwrócił na się uwagę świata całego, jest pięknie odlaną z bronzu w kolosalnych rozmiarach.

zwiska w Genewie więcéj zajmuje podróżnika, niż pałace i zamczyska, gdzie mnóstwo pokoleń urodziło się, żyło i zgasło bez zostawienia po sobie czegoś godnego uwagi; gdy przeciwnie, dzieje mężów zasłużonych przypominają nam ciągle, że można istnieć z pożytkiem i wielkością, przy całéj ułomności natury ludzkiéj, tudzież pozostawić ślady stóp swoich na kurzawie ubiegłych wieków.

Inny żeglarz, brat zabłąkany na puszczy żywota, ujrzy te stopy pielgrzymie i pójdzie wytkniętą drogą.

Pisma gieniuszów w ogóle mieszczą zawsze w sobie żywioł broniący społeczność od choroby i śmierci — mieszczą



**Ruiny Zamku w Międzyrzeczu.**

(Księst. Pozn.)

Rytowano w drzeworytni Sobótki.

Ludzkość po latach wielu przebaczyła nakoniec sławnemu filozofowi błędy i występki, z których znalazł cywilną odwagę publicznie się wyspowiadać; przebaczyła mu ciemną stronę dziwactw i wyobraźni często chorobliwéj, oceniając stronę dodatnią, która tak pięknie ukazała się światu przy żywem i jasnem świetle wysokiéj intelligencyi tego wiekopomnego męża.

Francya wzniosła mu także pomnik w katakombach Panteonu paryzkiego. Jestto ręka z zapaloną pochodnią wyciągnięta z mogiły.

Skromny domek Roussa przy ulicy tegoż samego najczystsze pojęcia sprawiedliwości.

Patrząc na płytę czarnego marmuru na ubogim domku autora Emila, na któréj wyryto te proste słowa:

Tutaj urodził się J. J. Rouseau, 28. Czerwca 1712.

Zadałem sobie mimowolnie pytanie: dla czego nie kanonizują takich ludzi zamiast kanonizować mistrzów świętéj inkwizycyi? Jeszcze raz powtarzam, że zadałem sobie tylko pytanie, boć przecie pytać się każdemu jest wolno.

Genewę przyrównać można do ula dobrze uorganizowanego, gdzie każdy z mieszkańców pracuje spokojnie i gorliwie dla powiększenia skarbca narodowego.

Nic więc dziwnego, że próżnujących cudzoziemców uważają w tém laboratorium przemysłu za intruzów, szerszeni, których można tylko cierpieć pod warunkiem, że nie dotkną miodu nagromadzonego, lecz przeciwnie, przyczynią się chociaż opłatą podatku za kartę pobytu do ogólnéj pomyślności.

Słowem, każdy cudzoziemiec, który już to pieniędzmi, już talentem lub nauką, nie przyczynia się w Genewie do dobrobytu obywateli, z trudnością bywa przyjęty do towarzystwa tamtejszego ludu religijnego i spekulacyjnego razem, który w tym grodzie Kalwina jest zimny, wyrachowany, pracowity i praktyczny; a każdy z wyższém wykształceniem Genewczyk ma w obejściu się swojém coś doktoralnego.

Jak wszystkie Rzeczypospolite na świecie, począwszy od starożytnego Rzymu, Genewa, ów Rzym protestancki posiada patrycyuszów i plebejuszów. Pierwsi mieszkają na wyniosłości miasta, drudzy na równinie nad jeziorem. Pierwsi są milionerami, drudzy dorabiającymi się robotnikami i handlarzami, mianowicie zegarków i biżuteryi.

Nasz rodak Patek przeszedł już z drugiéj kategoryi do pierwszéj. Fabryka jego i spółki zegarków stała się nieomal naipierwszą w Genewie. Ale nie lubi ona wojen!... chociaż sam Patek był ponoć kiedyś wojakiem.

W życiu domowém ziomków Roussa nie trzeba szukać wdzięku salonowego, wytworności i wykwintnéj uprzejmości. Nie zaiste! Wszystko tam oddycha surowością obyczajów, suchością kalwinizmu, jako téż rachubą. Ależ pracownicy ci utrudziwszy się w ich kantorach handlowych i fabrycznych, potrzebują w swojém towarzystwie prywatnem nie krępować się formami i ceremoniami, lecz odetchnąć wolno, swobodnie, bez kosztów, a zawsze z pożytkiem.

Dla tego rzadko przyjmują do siebie obcych, wyjąwszy do Czytelni publicznéj, i to, gdy się jest przedstawionym przez którego z członków.

Czytelnia należy bezwątpienia do najpożyteczniejszych i najlepiéj urządzonych zakładów miasta.

Do rzędu wycieczek odbytych statkiem parowym po cudownem jeziorze, wraz z moim przyjacielem S***, należy i Lozanna, nadbrzeżne miasto, pogarbione, wijące się ze swemi domami i mieszkańcami po wzgórzach i dolinach, jak prawie wszystkie miasta, a przynajmniéj znaczna ich część w południowéj Szwajcaryi.

Na Lozannę, zarówno jak na Genewę, spogląda z po za gór niby wielka strażnica, siwowłosa, dziwna jak fantazya, jak senne marzenie, kapryśna w swych przedpotowych zarysach Mont-Blanc, podobna już to do białego widma wystrzyżonego z papieru, już do różowéj kortyny z pasem fioletowym u dołu, sięgającéj niebios swym złocistym szczytem.

Ale więcéj od Mont-Blanc, od Lozanny z jéj urozmaiconemi willami, ogrodami i parkami, których rozłożyste drzewa kąpią swe zwisłe warkocze w jeziorze; więcéj od całéj przyrody zajęło mię dobre urządzenie w tém mieście więzienia, czyli raczéj domu poprawnego, to jest mającego na celu nie samo oddzielenie od społeczeństwa członka szkodliwego temu społeczeństwu, lecz i moralną poprawę przestępcy; gdyż w Szwajcaryi innych więzień nie znają.

W ogóle wychodzą u nas z więzień ludzie gorszymi niż tam weszli, w Szwajcaryi rzecz się ma przeciwnie.

Największą część występków, a nawet zbrodni, wyrasta zwykle z niedostatku i nędzy; a te ostatnie biorą źródło najczęściéj w nieudolności pewnych indywiduów, nie mających żadnego fachu do zapewnienia sobie szlachetną pracą bytu w społeczeństwie.

Złapać więc takie indywiduum, zamknąć, skazać i potrzymać pod kluczem wedle wyroku dwa lub trzy lata; a potém wypuścić w takim samym stanie z którego wypłynął jego pierwszy upadek — to nie jest zaradzić złemu. Jest to tylko po prostu pozbawić bliźniego wolności na czas ograniczony i nic więcéj.

Tak się u nas jednak dzieje niestety z nieszczęśliwymi za którymi nie ma się kto ująć, którzy atoli przecież naturą człowieczą są do nas podobni.

I dziwić że się tu, że biedne indywiduum, któremu raz się noga pośliznęła w trudnéj sztuce życia, popada późniéj w też same, jeżeli nie gorsze błędy! Zaiste, sami sobie za nie grzech przypisać winniśmy, który na naszém sumieniu ciężyć powinien.

Jedynym środkiem ulepszenia takiego indywiduum, pogodzenia go z ludzkością i Bogiem, jest zwrócenie go żyjącemu z pracy społeczeństwu, jako mu równego, to jest uzdolnionego i przyzwyczajonego do owéj pracy, i do tego zaopatrzonego na początek pewnym zasobem kapitału dla opędzenia potrzeb, dopóki sobie zatrudnienia nie znajdzie.

Otóż, wracając do rzeczy, domy poprawcze w Szwajcaryi przyjęły sobie za najpierwszą zasadę wyuczenie więźnia rzemiosła, jakie sobie obierze, a powtóre, uskładanie dla niego dwóch trzecich części kwoty pieniężnéj, zarobionéj w areszcie.

Do téj zbawiennéj ustawy dodany późniéj artykuł uzupełnia kodex filantropijny, a to, upoważniając więźnia do oddawania jednéj trzeciéj części swego zarobku rodzicom, żonie, dzieciom, lub komu się podoba.

Tym sposobem związki rodzinne gwałtownie zerwane przez aresztowanie winnego zawiązują się na nowo. Pieniądze, któremi zasila krewnych, ułatwiają mu powrót na ich łono; gdyż zamiast przybyć do nich zhańbiony, biedny i odarty, długo nieobecny członek familii powraca oczyszczony przez karę z występku, uszlachetniony przez pracę, i daleki od pokusy nadal z powodu zasobowego funduszu i profesyi, w któréj go wyćwiczono.

O ile pożyteczne wydały owoce takie rozumne instytucye, okazuje się najlepiéj z wyciągów aktów więziennych. Kwestya więzienna tak zajmuje świat cały i tak stoi na porządku dziennym, będąc przedmiotem rozpraw tylu ludzi, iż nie od rzeczy będzie przytoczyć tu parę z nader licznych ustępów wspomnionych akt urzędowych w Lozannie, które codosłownie tłomaczę.

I tak:

B***, urodzony w 1807 r. w Bellerive — chłopiec młynarski — ubogi — skradł trzy miary pszenicy zmięszanéj z żytem i został skazany na dwa lata kajdan. Zarobek jego przy opuszczeniu domu poprawy, oprócz pomocy prze-

szłanéj rodzinie, wynosił 100 franków. Wyszedł bardzo uzdolnionym tkaczem.

Pod powyższą notą, pastor wioski, do któréj powrócił B..., dopisał własną ręką:

„Gdy za powrotem do Bellerive ten młody człowiek, upokorzony więzieniem, ukrywał się u ojca swego, nie mając odwagi wychodzenia z mieszkania, młodzież wiejska udała się w niedzielę do niego i zaprowadziła z sobą do kościoła.“

* * *

L***, oskarżona o różne kradzieże — trzy lata zamknięcia — wyszła w dobrém usposobieniu i udała się do swojéj komuny, gdzie na przychylne świadectwa, które tam doszły o jéj wzorowem zachowaniu się podczas uwięzienia, dziewczęta wyszły na jéj spotkanie i uściskawszy wprowadziły do wioski.

Zarobek 180 fr. — Prządka, umiejąca czytać i pisać.

* * *

D***, skazana na 10 lat zamknięcia za dzieciobójstwo, nie rozmyślne — za przybyciem nie umiejąca nic — wyszła wykształconą, celującą szwaczką.

Zarobek więzienny 1250 fr. Obecnie jest rządczynią w jednym z najgodniejszych domów kantonu.

itd. itd. itd.

Czyż nie patryarchalny to czyn republikańskiego rządu, kształcącego upadłych współbraci, i nie wzniosły, obywatelski rys charakteru młodzieży, żyjącéj po bożemu, bo odpuszczającéj winy bliźnim? Tam zaiste jest miłosierdzie, tam Chrystusa noszą w sercu, i szczytne godło federalistyczne: „Jeden dla wszystkich, wszyscy dla jednego“ zamienione w praktykę! Tam słowo ciałem się stało!

Pomiędzy Lozanną a Villeneuve gdy obaczysz samotne zamczysko przy szosie, zdające się tonąć w jeziorze Leman, wstąp do owéj rudery, jest to bowiem starożytne więzienie stanu, zwane Chillon, zbudowane dla myślicieli, a sięgające czasów książąt sabaudzkich, z epoki XIII wieku.

Boniward, jeden z tych niezłomnych i gorliwych apostołów, którzy wśród zadawanych im katuszy nauczali wolności, wlókł szare pasmo żywota w tém straszném więzieniu, mającém ciemnice wykute w skale pod wodą; a wiekopomne imię jego dotąd blaskiem swoim napełnia te lochy.

Boniward był przyjacielem Bertheliego i rzekł pewnego razu do swego przyjaciela, iż dla oswobodzenia ojczyzny gotów jest poświęcić wolność osobistą; a Berthelier odpowiedział mu, że ofiarował by dla niéj życie.

I obydwa przez jakiś dziwny fatalizm przepowiedzieli losy swoje.

Berthelier powiedziony na placu wyspy w Genewie na szafot i zmuszany pod pręgierzem o błaganie przebaczenia u księcia pana, zawołał:

„Niechaj zbrodniarze błagają o przebaczenie, a nie poczciwi ludzie! Niech książę prosi Boga o przebaczenie za to, że mię zamordował.“

I wymówiwszy te słowa, położył na pniu katowskim pod toporem głowę.

Boniwara tymczasem opasano żelazną obrożą i na łańcuchu przykuto do słupa w sklepieniu zamku Chillon, gdzie przepędził lat sześć, długich jak sześć wieków, pożerany myślą, że okropna jego niewola nie przyda się może na nic ujarzmionéj ojczyznie, że z prochów jego może nie powstaną mściciele, i że Genewa, jako i on sam skazani zostali na wieczne kajdany.

Boniward utracił w kaźni dużo krwi i kęsów ciała. Ciemność otaczała go do koła — lita jak skała. Ciemność ta zdawała się poruszać, lecieć gdzieś w nieskończoność, ale on był przytwierdzony przez sześć lat do jednego miejsca i stracił w głuchem ciemności milczeniu różnicę pór roku i doby dnia. Słyszał jednostajne uderzanie fal o ściany jego pieczary, a opuściła go nadzieja oglądania kiedykolwiek słońca i boskiéj przyrody.

Znikły ślady jego piękności męzkiéj, pozostały tylko zaklęsłe rysy wynędzniałéj i nabrzękłéj twarzy, któréj cera stała się podobna do ziemi.

Przebóg! sześć lat takich tortur — krew się w żyłach ścina na samo wspomnienie. Szczęściem, że myśl nie zabiła ciała, ani ciało myśli w tym męczenniku za wolność! że umysłu jego nie zwichnęły cierpienia i walka wewnętrzna!...

Żaden bowiem z oprawców, począwszy od sabaudzkiego księcia, nie dosłyszał nigdy żadnéj skargi, żadnego narzekania ani jęku z piersi bohatera. Zdawało się, jakoby ofiara chciała zemścić się milczeniem za męki, których nie mogła pomścić mieczem.

Boniward rachował sekundy swojéj czarnéj wieczności, które mijały już dla niego bez wyrazu, jak procesya sunących się mar z żałobnemi kapturami na obliczach, gdy na raz słyszy nie zwykły zgiełk i brzęk u drzwi ciemnicy. Odsuwa się ze zgrzytem żelazna zapora, ukazuje się lud z pochodniami w rękach i woła:

„Boniwarze! jesteś wolny!...“

„A Genewa?“

„I Genewa wolna!“

Od téj pory więzienie tego męża zamieniło się w świątynię, a słup z łańcuchami w ołtarz. Każdy miłujący wolność i prawdę nie pomija jéj i poseła z tamtąd do nieba westchnienia najczystszéj modlitwy.

Działo się to w r. 1816, gdy podczas jednéj z tych uroczych księżycowych nocy, któremi natura tak hojnie uposażyła Szwajcaryę, przesuwała się na stalowem wód zwierciedle jeziora mała barka, rzucając długi cień za sobą.

Gdy się zbliżyła do szarych, posępnych murów zamku Chillon, stanęła cichaczem u miękkiego brzegu i wysiadł z niéj z bladą twarzą urodziwy mężczyzna, z przenikliwem spojrzeniem i wyniosłą postacią, owinięty w czarny płaszcz po kostki.

Pomimo to dostrzeżono, że nieznajomy podróżnik kulał trochę na jednę nogę.

Zażądał on od dozorcy pokazania mu kaźni Boniwara.

Wszedłszy tam, pozostał w niéj samotny przez czas długi — a gdy się oddalił, odkryto na słupie, do którego był przybity Boniward, obok nazwiska skazanego wykute drugie nazwisko: Byron.

# PACE!

## (Z J. BARBIER'A.)

Po dniu skwarnym zapadła noc: w pełni potęgi
Burza, wkoło szalała rozhukana wściekle:
Gromy szarpały chmury na płomienne wstęgi,
I wicher wył rozpacznie jak Iskarjot w piekle.

W ową noc, Dante blady z krwawemi oczami
Biegł przez pięknej Florencyi ulice i place,
I padłszy, pod cichego klasztoru wrotami,
Głosem, który zagłuszył burzę, jęknął Pace!

Lecz wicher nie oniemiał i grom nie zagasnął:
A mnich, zbudzony ze snu, po trawienia znoju,
Wyszedł, spojrzał — i furtę z uśmiechem zatrzasnął:
Bo Dant, Gibelin, pragnął za życia: pokoju!

Miron.

## Historya o dwóch parach zakochanych i o połowie trzeciéj

podsłuchana i spisana przez

**Józefa Narzymskiego i Władysława Sabowskiego.**

(Ciąg dalszy.)

### X.

Obawa pani Sydońskiéj była jednak płonna zupełnie.

Przed zachodem słońca Cichowscy przyjechali jak zwykle konno. I oni byli ciekawi poznać archeologa, i oni byli trochę zdziwieni i zaniepokojeni tym przyjazdem.

Nim jeszcze go poznali przy herbacie, już pani Sydońska widocznie otwartsza i wymowniejsza tego wieczora jak zwykle, wyśpiewała im cały hymn pochwał na cześć przybysza. Dowiedzieli się równocześnie że zabawi w Małéj Woli najmniéj z tydzień, że co dzień po południu będą się mogiły rozkopywać, przyczem gospodyni dała poznać, że w tych trudach podjętych dla kraju i nauki i młodzi sąsiedzi brać udział by powinni.

Wysłuchawszy mamy dwaj bracia zwrócili się do córeczek.

Na zapytanie Jana, Halinka śmiejąc sie i trzepocząc odpowiedziała, że zawód ją spotkał wielki.

„Bo widzisz Pan“ mówiła, „słysząc o archeologu wyobrażałam sobie koniecznie człowieka podobnego do profesora historyi rzymskiéj na pensyi w Poznaniu. Mały, chudy, zgarbiony, kaszlący, łysy, z odrobinką włosów z tyłu które z kokieteryą zawsze naprzód ściągał, z twarzą pomiętą jak stara rękawiczka, mówiący przez nos i nie wyraźnie, w okularach, zażywający tabakę i pytający mię się niby z uśmiechem: Panno Halino! powiedz mi panna za co Tarkwiniuszów wypędzono z Rzymu?... Wyobrażałam sobie więc, że taki, co całe życie ze staremi rzeczami spędza, musi być spleśniały jak one, że człowiek co kocha szalenie zardzewiały kawałek bronzu, co marzy o staréj popękanéj urnie, co śni o miedzianym pieniążku, musi być stary, brzydki, podobny słowem do przedmiotów któremi się zajmuje... tymczasem...“

Zatrzymała się.

„Tymczasem“, wtrącił Jan, chmurząc i tak poważne czoło.

„Tymczasem, nasz archeolog, jest, powiadam panu, co się zowie przystojnym i przyjemnym człowiekiem...“

„Tak?“ bąknął przeciągło Jan.

„Sam pan zobaczysz“, odrzekła spokojnie panna, nie domyślając się znaczenia tego tak, lub też może dlatego właśnie że go się domyśliła doskonale, „sam pan zobaczysz... powiadam panu Apollo belwederski...“

Poważnemu Janowi straszliwie się to klasyczne porównanie nie podobało. Zapomniał o tém, że był to frazes książkowy, bo Halinka nigdy Appolla na oczy nie widziała, a gdyby była widziała, nie przyznałaby się do tego z pewnością. Można przecież przypuszczać, że Jan byłby daleko pobłażliwszym, gdyby to porównanie do niego się stosowało.

Teraz jednak wstał i przysiadł się do opuszczonéj co tylko przez Ignacego Julci.

Tu bowiem zaszła podobna scena choć w innéj trochę formie.

Zniecierpliwiony pochwałami Klińskiego Ignacy, ze zwykłą sobie gwałtownością przyczepił się do Julci.

„No, a pani czy także pełna entuzyazmu dla tego zbieracza starych skorup i kości?“

„Oh!“ odpowiedziało melancholiczne dziewczę, „jak pan możesz nazywać w ten sposób człowieka, co schylony nad drobnym odłamkiem rozmawia zdawna zmarłemi pokoleniami, czyta ich dzieje, z ciemności wieków przeszłość ich wydobywa... odgaduje to, co już było tajemnicą dla świata...“

„Uuu!... panna Julja cóś na archeologię zachorowała... Ale ja się o archeologa pytam...“

„Ma bardzo sympatyczny, bardzo miły organ głosu...“

„Tak?... czy tenorem śpiewa?...“

„Ah! jakiż pan dzisiaj złośliwy!...“

„Ja? a broń Boże!... cieszę się tylko, że znalazło się

nareszcie coś na świecie, zdolne w pani taki zapał obudzić... a śmieszy mię trochę, że tém czemś... jest... archeolog... mówiący — tenorem..."

I Ignacy poszedł do okna ciekawie się przypatrywać furze siana wjeżdżającéj w podwórze.

Po poznaniu Klińskiego i przy herbacie humor Marmurków niepoprawił się wcale. Widzieli oni, że mniemany rywal rzeczywiście jest bardzo przystojnym i przyjemnym człowiekiem. Że zaś pani Sydońska pozostanie jego w Małéj Woli opowiedziała trochę odmiennie od prawdy, a mianowicie w ten sposób, jakoby się sam gość zaprosił na długi pobyt, więc oczywiście, to szczególne postępowanie dawało powód do bardzo prawdopodobnych przypuszczeń.

Jan był téż więcéj jeszcze jak zwykle milczący, a Ignacemu iskry z oczu tryskały.

Co to jest jednak miłość własna w człowieku!... Każdy z nich poczuł ukłucie zazdrości... ale powoli zarozumienie zaczęło brać górę.

Pierwszy Ignacy powiedział sobie:

„E, Julcia, jak Julcia... pewny jéj jestem... ale ta warjatka Halina!... Biedny Jan!... Trzeba uważać..."

Późniéj nieco Jan myślał w duchu...

„Halina mi się sprzeciwiała tylko... ale téj rozmarzonéj Julci to archeolog z pewnością głowę zawróci... Trzeba ratować Ignasia..."

I każdy z nich przez pół zaspokojony o siebie zaczął obserwować kochankę brata i przedmiot ogólnego niepokoju.

Kliński rzeczywiście królował towarzystwu, prowadził rozmowę miłą, zajmującą, przystępną dla wszystkich.

Pani Sydońska była dlań odznaczająco grzeczną, panny słuchały go z uwagą i zajęciem, pan Aureli nieustannie wina dolewał, major co chwila łapał go za guzik, proboszcz ciągle głową mu przytakiwał.

Cichowskich te tryumfy aż podnosiły, a gorący Ignacy nieraz już chciał uciąć intruza, ale nie było sposobu. Na każde jego przeczenie gość tak grzecznie i poważnie odpowiadał, że byłoby niedorzecznością szukać zaczepki.

Bystry widz jednak byłby dostrzegł, że gospodyni domu od czasu do czasu rzucała przelotne spojrzenie na zachmurzone oblicza braci Marmurków, i wtedy przelotny uśmiech zadowolenia na ustach jéj osiadał.

Ta sama przecież herbata, która tak ztorturowała rozkochanych chłopców przyniosła Klińskiemu prawdziwe uspokojenie. Zanadto on żył dużo, zanadto się między ludźmi kręcił, żeby nie dostrzedz, nie zrozumieć, nie ocenić stosunku jaki istniał między dwiema parami młodych ludzi.

„Bogóż chwała" pomyślał, „tu mnie przynajmniéj za konkurenta nie wezmą!... Miejsca i serduszka zajęte."

A gdy raz do tego przyszedł przekonania, to i całe przyjęcie Sydońskich, cała ich serdeczna gościnność w daleko jaśniejszem stanęła przed nim świetle. Wyrzucał sobie swe podejrzenia, i czuł się rozrzewnionym prawie sympatyą obcych zupełnie ludzi.

Swobodny więc, prawie szczęśliwy, był przyjemniejszy jak zwykle i sypał iskrami dowcipu, rozumu i tych zalet, jakie dają człowiekowi książki, podróże, wychowanie dobre i obycie się w świecie. Porwany tym prądem nie zauważał nawet, że dwaj bracia krzywo spoglądają na niego, i owszem, obaj bardzo sympatyczne na nim zrobili wrażenie. Byłby się zbliżył do nich, ale przy herbacie absorbowały go kobiety, a potém preferans. Musiał to więc na inny raz odłożyć.

Kiedy po tym wieczorze bracia Marmurki wracali do domu, milczeli jak zaklęci, i tylko od czasu do czasu Ignacy mruknął przez zęby:

„Djabli go tu przynieśli!..."

## XI.

Kilka dni upłynęło od przybycia Klińskiego.

Pani Sydońska dotrzymywała słowa. Rozkopywanie kopców szło bardzo powoli. Poświęcano téj pracy tylko parę godzin poobiednich, gdy już słońce spuściło się nisko. Zresztą roboty, jakkolwiek niebezowocne, nie przynosiły nadzwyczajnych rezultatów, zwiększając tylko liczbę już znanych przedmiotów. Kliński jednak nie gniewał się na to bardzo i był ciągle w doskonałym humorze. To położenie jego dziwaczne, rozgoszczonego w domu nieznanym, pieszczonego przez matkę, nudzonego przez ojca, patrzącego na dwa naraz romanse, których przebiegu zrozumieć nie mógł, bawiło go dosyć i zajmowało.

Do tego dołączyła się i zajmująca drażliwość zagadki. Mimo doświadczenia swego Kliński nie mógł w żaden sposób odgadnąć wszystkich szczegółów i odcieni stósunku zakochanych między sobą. Że się kochają to wiedział, ale dla czego są zawsze dość ze sobą z daleka? co ich dzieli? tego rozwiązać nie umiał. Ludzie swobodni, bez kłopotów, bez celu żyjący na świecie, są zdolni zająć się byle bagatelką, byle sprawą zupełnie ich nieobchodzącą, i zrobić z niéj przedmiot wysileń i zajęcia gorącego.

I Kliński też postanowił sobie zagadkę tę rozwiązać. Widując zaś rzadko Cichowskich, nie mógł uskutecznić inaczéj, jak wybadując panny, z któremi całe rana spędzał razem w ogrodzie. Zresztą, niech tam co chcą gadają, zawsze to przyjemniéj spowiadać, indagować, badać piękne dziewczę jak wąsatego chłopa. Każde drżenie głosu, każdy rumieniec, choćby niemocniejszy jak blask wschodzącéj jutrzenki, ma tu znaczenie swoje. Jeżeli się człowiek nie dowie, napatrzy się przynajmniéj do woli.

Kliński więc zaczął wyciągać na słówka panienki.

Ale czy to przez taktykę, czy przez resztę zbytecznéj ostrożności zawsze z Halinką mówił tylko o Julci, z Julcią tylko o Halince.

Naturalnie że każda prawie taka rozmowa rozpoczynała się od całego szeregu uwielbień na rzecz nieobecnéj, wypowiedzianych pół-seryo, pół-żartem, a dopiero z nich wywiązywały się zawsze celujące dyskrecyą pytania.

(D. c. n.)

# RUINY ZAMKU W MIĘDZYRZECZU.

**(Wielk. Księstwo Poznańskie.)**

(Z ryciną.)

Nazwisko tego miejsca, wskazuje położenie jego między dwiema rzekami, to jest Paklicą i Obrą, które się z sobą łączą w tem miejscu.

Zamek tutejszy dotąd w ruinach zachowany, leży na dosyć znacznym wzgórku, oczywiście sypany wśród niedostępnych niegdyś błot, które dzisiaj przez osuszanie w łąki się zmieniły. Wspomniane błota tem trudniejszemi niegdyś do przebycia były, że Paklica i Obra groblami w łożach swoich nie ujęte, rozlewały się daleko, aż pod piaszczyste wzgórki, które za Międzyrzeczem widzimy.

Śledząc systemat obrony granic Wielkopolskich od zachodu, oraz posadę Zamków w Ujściu, Czarnkowie, Nakle, Wieluniu, Santoku, a daléj w Zbąszeniu; powątpiewać niemożna, że i Międzyrzecz położony na gościńcu handlowym do Saksonii i Marchii, musiał być od wielu wieków obronnem stanowiskiem na granicach naszych. Czas przecież, kiedy pierwsze warownie w tém miejscu założono, jest niepewny. W mniemaniu naszém musiało to się stać w połowie XI. wieku, tyle albowiem wiemy, że w początkach tegoż wieku jeszcze zamku w Międzyrzeczu niebyło, przynajmniéj, że o nim dziejopisowie niewspominają, a w końcu wieku już był głównym punktem obrony granic polskich od Niemiec. W tym czasie zdobyli tę twierdzę Pomorzanie, a Władysław Herman pragnąc przywrócić krajowi pograniczny ten zamek, zlecił Bolesławowi synowi swojemu, aby go im odebrał, przydał mu oraz za doradzcę w téj wyprawie sławnego w ówczesnych dziejach naszych Sieciecha.

Dawny zamek na rycinie przedstawiony, miał być podobno dziełem Kazimierza Wielkiego. Gmach ten już w końcu XVII. stał pustkami i do obrony był niezdatny.

W miejscu tego poważnego gmachu wystawili w XVII. wieku starostowie dla siebie nowy dom mieszkalny przed starym zamkiem.

Lustracya zamku Międzyrzeckiego z r. 1770. taki obraz jego nam przedstawia: Zamek Międzyrzecki, leży na sypanym wzgórku tak szorstkim, iż nikt dla spadzistości jego obejść niemoże. Zamek zajmuje szczyt tego wzgórka. Głęboki rów obwodzi tę warownię od wschodu, południa i zachodu. Od północy oblewa go Obra i trzęsawiska, które przed laty jeszcze głębszemi być miały. Oprócz téj przyrodzonéj obrony, sztuka wojskowa przyczyniła się do wzmocnienia téj twierdzy. Po obu stronach bramy, stoją dwie niskie i szerokie wieże, których mury od 4 do 5 łokci grubości mają. Jest to obronne stanowisko, z którego do stu żołnierzy strzelać może. Wieże te są sklepione tak, że na nie armaty zataczać można. W zamku samym są usposobione mieszkania dla żołnierzy. Było tam dawniéj kilka pięknych pokoi, ale te są dziś zaniedbane. Już od r. 1691. zamek ten niebardzo jest mieszkalny, dla tego téż panowie starostowie pod górą wznieśli inny gmach dla siebie.

Mówiąc o zamku Międzyrzeckim przemilczeć nam się niegodzi i starostów jego Jana Zamojskiego i Stanisława Żółkiewskiego, wodzów sławnych, którym Zygmunt III starostwo to nadał.

Dziś jak wszystkie pamiątki przeszłości zamek ten spoczywa w gruzach.

## Przegląd Teatralny.

Szczupłość ram naszego pisma, nie dozwala na poświęcenie szerszego miejsca przeglądom teatralnym; z téj przyczyny w miesięcznéj o teatrze pogadance, cofnąć się musimy do przedstawień dawnych, z których być może wrażenia już się nowemi zatarły. Gdy jednak nie spotkaliśmy się w pismach miejscowych z szerszym rozbiorem sztuk, zasługujących na pilniejszą uwagę, to przypuszczamy, że przypomnienie takowych z kilkoma krytycznemi uwagami nie będzie bez interesu i pożytku publiczności. Interes ten i pożytek tem jest widoczniejszy, im większe z dniem każdym zajęcie się sprawą teatru publiczność nasza objawia, im więcéj okazuje się potrzeba zamanifestowania opinii o dziełach dla jéj zabawy i pożytku przedstawianych. Nim jednak przystąpimy do właściwego przedmiotu, pragnęlibyśmy o potrzebie, znaczeniu i rodzajach krytyki słów kilka powiedzieć.

Nikt już dziś zaprzeczyć nie może, że k r y t y k a, czyli s z t u k a s ą d z e n i a, jest jednym z koniecznych warunków postępu prac ducha ludzkiego. Wszystko co ta działalność ducha oczom lub umysłowi naszemu podaje, wszystko jest sądzone ze złéj i dobréj strony, w ogóle i w szczególe, pod względem pomysłu i ważności celu, dążności, chęci, jak pod względem piękna, prawdy, układu, słowem wszystkiego, co różnemi drogami i sposobami popycha świat naprzód. Krytyka więc dzielić się musi na tyle szczególnych działów, ile ich ma wszechstronny postęp.

Dziś zajmuje nas wyłącznie krytyka literacka i estetyczna.

W ogóle krytyka estetyczna czyli krytyka piękna ma za cel wytknięcie i ocenienie piękności i błędów danego dzieła; ale drogi któremi do tych wyników zdążą są różne. Jeszcze do dzisiaj bardzo upowszechnionym rodzajem krytyki jest wybranie w odpowiednim rodzaju sztuki uznanego arcydzieła i porównanie z niem dzieła przedstawiającego się jéj sądowi. Ale tego rodzaju krytyka jest bardzo niedostateczną; błądzi ona w tém, że to coby być mogło stawia na równi z tém co być powinno, że za miarę porównania bierze to, coby należało zrobić, z tém co było zrobionem, i z tego powodu jest raczéj krytyką niedokładności, aniżeli piękna, nie uznaje nowych pomysłów, nie zna względu na kierunek bądź z indywidualnego, bądź narodowego charakteru wynikający. Sposób ten oceniania zowie się krytyką e m p i r y c z n ą.

Drugim rodzajem krytyki jest tak zwana k r y t y k a a d o r a c y j n a; zasadza się ona na regułach prostego rozumu, na opisaniu indywidualnych wrażeń krytyka, na jego uprzedzeniu, często na pewnych powodach względności; w sądzeniu swojém nic on nie wyjaśnia, nic nie formułuje i żadnego nie stanowi prawa. — Z takiéj krytyki sztuka pożytku nie odnosi. Przyjęta ona jest po większéj części w szpaltach pism codziennych i przedstawia się raczéj jako rodzaj anonsu, niż jako krytyka we właściwém znaczeniu tego słowa.

Trzecia metoda tak zwanéj k r y t y k i f i l o z o f i c z n é j zasadza się na zbadaniu przyczyn wrażenia i dróg jakiemi to wrażenie do serc

i umysłu przechodzi, na ocenianiu celu, pobudek, układu, mocy stylu, słowem wszystkiego, co jest warunkiem piękna estetycznego. Tego rodzaju krytyka obdarzyła Niemców sztuką dramatyczną — o tego rodzaju krytykę i my przy budzeniu się zamiłowaniu do sztuki starać powinniśmy.

Ale zdobycie tego stanowiska krytyki nie jest łatwe; prócz wysokiego wykształcenia, prócz poczucia artystycznego, potrzeba jeszcze i wiele doświadczenia, które w naszém położeniu trudno się zdobywa. Nie przypisując więc sobie tego zaszczytnego stanowiska, starać się przynajmniéj będziemy o zbliżenie się do niego i o ustrzeżenie tych błędów, w jakie dotychczasowe krytyki pism naszych zwykle popadały. Jedne, z szlachetnych ale nie właściwych krytyce pobudek, przyklaskują każdemu, bodaj nawet najnędzniejszemu ze względów artystycznych utworowi, byle tylko ubrany był w konfederatkę, kontusz i karabelę; drugie z punktu własnych przekonań społecznych i religijnych oceniają wartość artystyczną dzieła, inne znowu ze stanowiska zaściankowego oceniają typy i całą sieć intryg w utworach malujących życie obcych narodowości; wszystko co do téj formułki z góry postawionéj nie da się zastosować, przestaje być artystyczném, moralném itd.

Ale przejdźmy do rozbioru na początku zapowiedzianego.

Tydzień mija od benefisowego przedstawienia pani Nowakowskiéj, na które benefisantka wybrała z repertuaru francuzkiego dramat Froufrou pp. Meilhac i Halévy. Przed dwoma laty dramat ten odegrany w teatrze Gymnase entuzjazmował publiczność paryską, za którą i krytyka powiększéj części w ślad poszła. Ale i na przeciwnikach mu nie zbywało; gdy jedni wynosili pod niebiosa, inni wołali że dramat usprawiedliwia nazwisko, że wartość jego i opinia o nim jest rzeczywistem Froufrou. Te same objawy i u nas spotkaliśmy.

Froufrou, jak każdy łatwo się domyśli nie jest imieniem, ale przydomkiem danym pannie Gilbert młodszéj córce p. Brigard. Pan Brigard jest bogatym mieszczaninem, wdowcem, bardzo pretensyonalnym, farbującym siwe włosy od chwili, w któréj jak się sam wyraża przekonał, że nie jest godzien ich noszenia. Pomimo podeszłego wieku wielką część dochodów swoich traci na prezenta Karolinom, Antoninom itd. Jednem słowem jest to stary elegant i tak zwany viveur, którego lekkie prowadzenie się wszystkim, nawet córkom jest wiadome. Cała ta postać narysowana bardzo dowcipnie, chociaż jako typ w naszém społeczeństwie rzadko spotykany — i z tego względu być może nie przez wszystkich dobrze był pojęty. Starsza córka pana Brigard, Ludwika jest rozumną, roztropną i cnotliwą — młodsza Gilbert, tak zwana Froufrou jest lekką, roztrzepaną i bardzo piękną, w każdéj chwili myśli tylko o zabawie, wszystko jest dla niéj przedmiotem żartu, wszystko, nawet oświadczenie się p. Valréas, którego miłość nie zdaje się być zbyt głęboką; — nawet prośba o rękę pana Sartoris człowieka poważnego, dyplomaty, mającego świetną karyerę przed sobą. — Na żądanie i perswazye rodziny, Froufrou z łatwością przychyla się do prośby pana Sartoris; krok ten robi bez zastanowienia, pomimo pewnéj sympatyi dla lekkiego roztrzepańca pana Valréas. — Małżeństwo to jest bardzo pożądane przez ojca pragnącego jak najprędzéj uwolnić się od krępującéj opieki nad córkami — i starsza siostra Ludwika cieszy się tym wypadkiem, bo los niepewny ukochanéj siostry składa w ręce człowieka z charakterem i rozumem. — Jest to jednak heroiczna ofiara ze strony Ludwiki — gdyż ona także kocha p. Sartoris, ale poświęca nadzieje swoje dla szczęścia siostry.

Ta pierwsza, że tak się wyrazimy rekomendacya postacyi wchodzących do dramatu, jest właściwie prologiem i stanowi akt pierwszy. Na początku aktu drugiego spotykamy piękną Froufrou jako żonę od lat czterech pana Sartoris. — Niektórzy chcą zarzucić pp. Mailhac i Halévy za wielką dowolność rozporządzenia czasem i miejscem — mówią że autorowie wpadają w drugą ostateczność, przeciwną ostateczności klasycznych dramaturgów, że każdy akt skutkiem tego rozpoczynać się musi od opowiedzenia co w czasie pauzy za płótném się działo. — Nie zdaje się nam jednak zarzut ten uzasadnionym. Akt I czyli właściwie prolog, narysowany jest z takiem życiem, tak artystycznie, że w kilku minutach widz zapoznaje się z charakterem wszystkich postaci, a przejście od aktu I do II jest tak misterne, że scena którą akt II odkrywa już nieledwie przez widza przewidzianą była. O ile nam się zdaje zawiązanie sztuki jest najudatniejsze z całego utworu. Wszystkie a mianowicie charakter Froufrou narysowany jest ręką lekką, nic tam dodać nic ująć nie można — autor po tym prologu uwolnił się w dalszym ciągu od obciążających intrygę szczegółów i cały przeprowadzeniu głównéj myśli się poświęcił. Taką bohaterkę jaką jest Froufrou rzadko spotkać można; — od pierwszego ukazania się na scenie zdobywa ona sympatyę widza, a interes w odgadnięciu jéj przyszłego przeznaczenia żywo jest pobudzony.

W akcie drugim, chociaż Froufrou już jest żoną, nie mniéj żywo osobą swoją widza zaciekawia. Stroje, wizyty, bale i teatr zajmują czas jéj do tego stopnia, że brak go dla domu, męża i dziecka. Nie może ona iść z dzieckiem na spacer do Tuileriów, nie może towarzyszyć mężowi do Carlsruhe, gdzie go posłem rząd mianował. Jakże można wystawić sobie Froufrou bez Paryża i Paryż bez Froufrou? A gdy Sartoris odmawia na prośbę żony, stanowiska mu ofiarowanego przez rząd i w zamian żąda od niéj ażeby odmówiła teatrowi amatorskiemu roli, którą jéj powierzono, Froufrou woła z oburzeniem: „Ach! spodziewałam się że czegoś rozsądniejszego będziesz żądał odemnie.“ Być może że Froufrou dla tego tak wiele przywiązuje do swéj roli kochanki, iż w sztuce granéj jako kochanek występuje dawny znajomy i wielbiciel pan Valréas. Repetycye się powtarzają pod okiem pewnéj baronowéj Cambri, kobiety bez zasad z wyższego świata, a Valréas nie omija żadnéj okoliczności, ażeby z roli swéj kochanka dobrze skorzystać. Tego rodzaju życie Froufrou, zaczyna przestraszać męża. — P. Brigard opuszcza Paryż i goni do Pragi za jakąś aktorką. — Sartoris korzysta z téj okoliczności i prosi siostrę Ludwikę, ażeby w jego domu zamieszkać przez czas nieobecności ojca, zechciała. Froufrou prośbę tę popiera i stawi siostrę na stanowisku swojém między mężem i dzieckiem. „Ach jakżeż w tém położeniu jesteś zachwycająca moja Ludwiko!“ wołała wybiegając na obiad do pani Cambri, gdzie o toalecie i przyszłym amatorskim przedstawieniu mają radzić.

Jednakże wesołość Froufrou nie trwa ciągle. Valréas z dniem każdym kocha ją więcéj, w końcu nawet otwarcie wyznaje miłość, ale Froufrou odpycha ją i nakazuje szaleńcowi wyjazd z Paryża. Rozkaz ten kosztował ją wiele. Czyż więc kocha pana Valréas? Dotąd sama jeszcze sprawozdania sobie z tego nie zdaje. Rozważając położenie własne widzi nareszcie, że mąż nie wiele się o nią troszczy i że w domu jéj miejsce zajmuje Ludwika. Ludwika wybiera nauczycielki dla dziecka i gdy mąż ma ważną sprawę na głowie zawsze z nią do Ludwiki po radę się udaje. Ciągle Ludwika i zawsze Ludwika! Froufrou chce stanowisko utracone zdobyć, i żąda od męża ażeby zarząd domu jéj oddał. Sartoris przyjmuje to oświadczenie z uśmiechem, a widząc jéj smutek parę koni na pociechę ofiaruje. Na taką odpowiedź wybucha Froufrou głośnym płaczem; wkrótce ze smutku przechodzi do zazdrości; domyśla się dawnego uczucia Ludwiki dla męża i tém silniéj utwierdza się w posądzeniu swojém, kiedy ta zjawiającego się konkurenta odrzuca. — Stan ten doprowadza ją do ostateczności: „Zabrałaś mi męża, dziecko, dom, woła w końcu, dobrze! zatrzymaj to sobie.“ Poczém wybiega.

Po tem zajściu Froufrou opuszcza Paryż i łączy się z p. Valréas przebywającym w Wenecyi. Mąż po długiéj chorobie spieszy za nią i zabija w pojedynku p. Valréas. Tak silne przejścia oddziaływają na zdrowie Froufrou; ulega też ona ciężkiéj chorobie i przed śmiercią przybywa do Paryża, ażeby przebaczenia męża uzyskać. — Siostra i ojciec wstawiają się za nią — mąż zapomina przeszłości, ale nieubłagana śmierć w téj chwili właśnie porywa ją ze świata. — W momencie zgonu Froufrou przywołuje nieodstępną powiernicę i z całą naiwnością zdradzającą motylkową przeszłość mówi do niéj: W krótce umrę, włóż mi po śmierci tę białą suknię z astrami; będzie mi w niéj bardzo do twarzy.

Oto jest treść sztuki.

Charakter Froufrou jest nowym i powabnym. Typ to tych żon i matek, nawet i u nas w ostatnich czasach dobrze znany, dla których brutalna wierność jest całem wypełnieniem obowiązków rodzinnych. Życie w czterech ścianach domu o tyle im tylko jest znane, o ile światową uciechę w niem znajdują. Pod względem artystycznem Froufrou w trzech pierwszych aktach lepiéj jest narysowaną. Niektórzy chcą zarzucać niewłaściwość tych skutków jakie w akcie

czwartym w Wenecyi nam się przedstawiają. Mówią, że bez porównania więcéj artystycznem byłoby postawienie Froufrou nad brzegiem przepaści i od niéj zwrócenie ku życiu i obowiązkom. Nam się zdaje przeciwnie. — To co błędem w życiu było, karę swoją odnieść musi, — a jeżeli nie zawsze podobne błędy w ten sposób karane widzimy, to nikt jednak dramaturgowi wzbronić niemoże stawienia jako przykład wyjątków. — Jeżeli co nas w akcie czwartym raziło to scena nie estetyczna, kiedy autor każe się domyślać że biedna Froufrou kosztem kochanka żyje. — Wolelibyśmy nawet żeby o tem co nam cały czwarty akt przedstawił w innéj formie słuchacz się dowiedział. Utrzymałoby to widza w podnioślejszém uczuciu i uwolniło od widoku scen chociaż prawdziwych, ale zanadto ziemskich. Co więcéj, zmiana formy dwóch aktów ostatnich uwolnić by mogła sztukę od dziwnego kontrastu, jaki z formą trzech aktów pierwszych one przedstawiają. — Całe zawiązanie i przejścia aż do wyjazdu Froufrou, jest czystéj wody komedyą, dwa akta ostatnie prawdziwym dramatem. — Jedność traci na tem wiele — jedność, jeden z ważnych warunków formy artystycznéj. O ile bezwątpienia trzy akty pierwsze są arcydziełem bez zarzutu, o ile pomysł i wykonanie ich przyklask powszechny zyskać powinno, o tyle dwa drugie nawet oryginalnością się nie odznaczają. — Wyrazy Froufrou przy skonaniu pełne dowcipu są kopią ostatniego aktu la Vie de Bohême. — Ale bo też mówią że ludziom najtrudniéj artystycznie umierać.

Pomimo tych małych usterek, Froufrou należy do najpiękniejszych sztuk z nowego repertuaru francuzkiego. Zarzuty że krok Froufrou opuszczenia męża nie jest psychologicznym, podstawy nie ma. Kto mógł bez myśli, ot tak sobie męża wybrać, dla czegóżby nie mógł w tenże sposób go opuścić? Nie pojmujemy zkąd autor kroniki poznańskiéj wydobył zarzut, że sztuka nie ma myśli i tylko na dowcipnym dialogu opiera się. Każdy inny zarzut byłby uzasadniony więcéj — ale ten wygląda na kronikarski frazes. I owszem, Froufrou w rzeczywistości jest sztuką głębszą niż elegancki i lekki początek zapowiada; a nawet treść dramatu mogłaby służyć za prześliczną osnowę do powieści. Całość jest żywo i malowniczo oddana. Ta spółka literacka pp. Meilhac i Halévy dała dowód niepospolitych zdolności i dowcipu. Są to ludzie młodzi i jest nadzieja, że Froufrou nie będzie ostatnią ich pracą.

Po tych kilku uwagach przechodzimy do ocenienia gry artystów występujących w téj sztuce na naszéj scenie.

Przedewszystkiem o p. Nowakowskiéj mówić winniśmy, ona to bowiem w roli tytułowéj większą część ciężaru przedstawienienia na sobie dźwigała. Kilka scen, np. oświadczyny pana Valréas, próba teatralna oddane były z taką prawdą i pojęciem, że błędu dopatrzeć się nie można; całość ani razu fałszywym tonem zepsutą nie była. Jeżeli moglibyśmy prześlicznéj grze Froufrou uwagę jaką zrobić, to chyba tylko tyczącą się aktu czwartego. Zdaje się nam bowiem, że gdyby artystka przy całéj traiczności téj części dramatu nadała grze swojéj pewien ton lekkości przypominającéj trzy akty pierwsze, to tém zatarłaby różnicę uderzającą między dwoma częściami sztuki.

Pan Dobrzański, którego charakter zdolności dramatycznych nie skłania się do roli Valréas'a, oddał ją jednak ze zrozumieniem i wdziękiem. W każdym ruchu i wyrazie widoczna była świadomość roli i praca nad nią; a co jeszcze rzadsze na naszéj scenie, odznaczał się eleganckiem ułożeniem, koniecznem do ról salonowych. Zarzucilibyśmy tylko głosowi nieco chropowatemu i gardłowemu — w rolach komicznych ujdzie on, ale w roli Valreasa razi dyssonantem.

Pan Nowakowski w roli p. Brigard był równie dobrym i oddał ją z pojęciem i znajomością typów zwanych na paryzkim bruku petit père.

Panna Górecka I. w roli Ludwiki równie staranną i dobrą jak zawsze była. — Trochę więcéj życia bardzoby grę jéj podniosło.

Najgorzéj wywiązała się panna Górecka M. Rola baronowéj Cambri była dla niéj najniewłaściwszą; gra też niezbliżała się nawet do charakteru damy z wielkiego świata i zepsutéj. Panna M. Górecka była jak zawsze tak i tą razą naiwnem młodem dziewczęciem.

Całość wypadła bardzo dobrze. Publiczność z widocznem zajęciem się przysłuchiwała sztuce, a gra artystów uniosła wiele z dam naszych do tego stopnia, żeśmy widzieli łzy żalu wylewane nad losem biednéj Froufrou. Loże i parter w całości zapełnione były publicznością, benefisantkę obsypano bukietami, co wszystko razem dowodem jest sympatii i uznania talentu primadonny sceny naszéj.

**X. Y.**

## Szarada.

Wspak pierwsze, będzie karta; druga, trzecia zgłoska,
To tony które na świat głosi muza boska;
Trzecie pierwsze naczynie, ale trzecie, drugie,
Obliczyć nam pozwala oddalenie długie.
Wszystko przysmak, lecz dodaj literkę jedynie,
Będzie wyspa, co czyny bohaterstwa słynie.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 7: ***Sobieski.***)

## Korespondencye Redakcyi.

Panu I. M. w Berlinie: Przypominamy się mu o adres i pracę przyobiecaną. — Panu S. W. w Bydgoszczy: Gdybyśmy na wszystkie uwagi i rady zważać mieli, zrobiłby się chaos z którego wybrnąć niepodobna byłoby. — Słyszeliśmy zarzuty przeciwne pańskim, dochodzą nas nawet pochwały tego, co wczoraj zganionem było, słowem jest taka mięszanina żądań i zdań, że tylko na własne zważać możemy. — Panu K. R. w Poznaniu. Drukować niemożemy, pomimo pochlebnego zdania, jakie pan o pracy swojéj w liście wyraził. — Panu T. P.: Za rycinę obiecaną dziękujemy i upraszamy o jak najspieszniejsze przesłanie jéj do Poznania.



Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Spółki. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel.)